MURZYNEK

Rok XXVI Nr. 11

Listopad 1938



Chrzest Murzyniąt.

MURZYNEK

katolickie, ilustrowane pisemko misyjne dla dzieci i młodzieży, wydaje w różnych językach

SODALICJA Św. PIOTRA KLAWERA

Krosno, woj. lwowskie

Prenumerata roczna 1.20 zł.

SPIS RZECZY: Szczęście Murzynka (wiersz). — Za każdą cenę chce być dzieckiem Boga. — Dusza za szczyptę tabaki. — Bohaterstwo trędowatego dziewczęcia. — Bł. Kizito. — Oto tak, oto tak, sieją ludzie mak. — Zagadki.

Ilustracje: Murzynek. — Misjonarz częstuje Murzynkę tabaką. — Biedni trędowaci. — Mali męczennicy w drodze na stos. — Dziewczęta ze szczepu Wadżagga przy zabawie „dżagga".

Prenumeraty i ofiary

przesyłać można pod następującymi adresami:

Sodalicja Klaweriańska, Warszawa I, ul. Warecka 10, m. 4. — *Kraków*, ul. św. Marka 25. — *Poznań*, ul. św. Józefa 9. m. 5. — *Krosno* (woj. Lw.). — *Wilno*, ul. Wielka 58, obok kościoła św. Kazimierza. — *Częstochowa*, aleje Najśw. Marii Panny 79. — *Lwów*, p. K. Froniówna, ul. Edwarda Jelinka 11a. — *Kielce*, p. M. Kasperska, ul. Śniadeckich 1, m. 8. *Gniezno*, p. Anna Potulna, ul. Mieczysława 1. — *Bielsko*, ul. Piłsudskiego 7. — *Ostrów Pozn.*, p. Roman Spychałowicz, ul. Staro-Kaliska 9. — *Łowicz*, pan Marian Tarczyński, ul. Kościuszki 17.

Dom główny: *Rzym*, Sodalizio di S. Pietro Claver, *Roma (123)*, via dell'Olmata 16.

Numer konta P. K. O.: Warszawa 1.188 — Kraków 410.756 — Poznań 200.015 — Wilno 701.217 Krosno 411.222.

DARY MYSYJNE.

Dzieci z Potoka Załęża i Woli Dembowieckiej przysłały na misje, za pośrednictwem Ks. Proboszcza Krausa, 2.500 znaczków, 18 dkg. staniolu i 12.- zł. ze skarbonki.



Szczęście Murzynka

Co za radość! czy nie wiecie,
Już niedługo będę przecie
Dzieckiem mego Boga w niebie,
Który wzywa mię do Siebie
I chce zbawić duszę moją
I napełnić łaską Swoją.

Już się uczę świętej wiary,
Już rzuciłem precz złe czary,
Tęsknię wciąż do dnia wielkiego,
Kiedy woda chrztu świętego
Duszę moją z win obmyje,
Szatą łaski ją okryje.

Choć czarnego jestem ciała,
Dusza moja będzie biała,
W sercu moim Bóg zagości;
Co ja będę miał radości...!
Bóg Wam zapłać ludzie biali,
Żeście mi Go poznać dali!

X 38 10.7

Za każdą cenę chce być dzieckiem Boga

O. Borra, della Consolata.

Wy, moi kochani, nawet nie możecie sobie wyobrazić, ile muszą wycierpieć wasi czarni braciszkowie, nim staną się członkami Kościoła św. Serce się krwawi, gdy się widzi, jak narażają się na groźby, przekleństwa i okrucieństwa, jeżeli tylko ośmielają się mówić o chrzcie św. Wy, którzyście otrzymali od Boga nieocenioną łaskę urodzenia się z rodziców chrześcijańskich, dziękujcie za to Bogu z całego serca i proście Go, aby zmiękczył twarde jak kamień serca rodziców-pogan, by i ich oczy otworzyły się na światło prawdziwej wiary i aby swym dzieciom nie zabraniali przyjęcia chrztu św.

Oto nasz ostatni katechumen, który przybył do nas w zeszłą niedzielę. Nazywa się Chogirangi, ma mniej więcej dziesięć lat. Chce stać się „mtoto Mungu“ (dzieckiem Boga), a na nieszczęście jest synem pewnego Jumy, zagorzałego muzułmanina, mieszkającego w mieście Iringa. Ten okrutny ojciec chciał, wbrew ludzkim i boskim prawom, zmusić syna do przyjęcia mahometanizmu. Chogirangi, domyślając się, co ojciec zamierza uczynić, uciekł do misji. Przyjąłem go do katechumenatu, lecz przepowiedziałem mu, że będzie musiał wiele cierpieć ze strony swego ojca.

Rzeczywiście przepędził z nami w spokoju zaledwie dwa dni, gdy zjawił się jego ojciec. Wydawał się szalonym z wielkiego gniewu. Z ócz strzelały mu płomienie, usta parskały pianą. Krzyczał jak potępieniec:

— Gdzie jest mój syn! Chcę widzieć mego syna! Pokażcie mi go!

I wymachiwał w powietrzu wielkim kijem, grożąc:

— Widzicie tę „ndonge“ (kij)?... To dla niego! Jak go przychwycę, to mu głowę urwę!... Lepiej niech umrze, niż miałby zaprzeć się wiary swego ojca!

Zbliżyłem się do niego, starając się ułagodzić go nieco i obiecując mu, że zobaczy swego syna, jeśli mi odda ten kij i przyrzeknie mieć wzgląd na młody wiek dziecka. Lecz słowa moje były bezskuteczne.

— Chcę mieć mego syna — powtarzał uporczywie — zwiążę go, zaniosę do twierdzy.

Chogirangi siedział tym czasem wysoko na dzwonnicy i przysłuchiwał się całej tej rozmowie, a na myśl, że ojciec mógłby go i tam dosięgnąć, szczękały mu zęby ze strachu i prosił Boga chrześcijan, by oddalił ojca.

Juma węszył nosem po wszystkich dziurach: był w szkole, w kuchni, w stajni, w ogrodzie, szukając zbiega; tylko do kościoła nie odważył się wejść. Widząc, że szuka napróżno, plunął groźbą w stronę Ojca:

— Na Allaha i jego proroka! przysięgam ci, biały człowieku, że zaprowadzę cię do twierdzy i każę cię rozciągnąć na żelazie!

To mówiąc, oddalił się. Chogirangi zeszedł wtenczas z dzwonnicy i, przytulając się do mojej sutanny, rzekł cały drżący:

— Ojcze, pomóż mi! Mój ojciec mnie zabije.

— Nie bój się — odrzekłem — jesteś pod opieką Boga i moją.

Tymczasem Juma, nim zdecydował się oskarżyć Ojca przed sądem, wpadł na tę dobrą myśl, by poradzić się swoich współwyznawców. Ci,

spokojniejsi i więcej zrównoważeni, poradzili mu, aby całą sprawę oddał w ręce Allaha i poczekał, aż syn trochę urośnie.

Tak skończyła się pierwsza scena tej tragedii. Lecz przeczuwam, że mój mały bohater będzie musiał jeszcze dużo przecierpieć, zanim woda chrztu św. obmyje mu duszę. Módlcie się za niego, moi drodzy mali przyjaciele !

Dusza za szczyptę tabaki

O. *Devalle*, della Consolata.

Pewien wielki apostoł taką dał radę odjeżdżającym do Afryki młodym misjonarzom :

— Zabierzcie z sobą : w sercu miłość Boga i dusz, w jednej ręce brewiarz, w drugiej różaniec !

Rzeczywiście mniej nie można, ja bym jednak dodał :

— A do kieszeni zabierzcie ... dobrze wypchaną tabakierkę !

— ? !

— Tak. Jest ona niezbędna dla misjonarza. Poniższy przykład najlepiej to objaśni.

Umarła tu nagle młoda Murzynka, zostawiając swe kilkumiesięczne dziecko. Ojciec pracował daleko poza domem, maleństwo więc z konieczności dostało się w podarunku babce. Stara poganka nie była tym uszczęśliwiona. Sama zaledwie mogła się ruszać, gdyż już była bardzo, bardzo stara, a tu jeszcze pielęgnować takie ruszające się wciąż stworzenie! A żywność? Zaledwie znalazła coś dla siebie, a cóż dopiero dla drugiej osoby !

Dawniej zaniosłoby się dziecko do lasu na łup hien, ale teraz prawo zabrania tego. Nie pozo-



Misjonarz częstuje Murzynkę tabaką.

stawało więc nic innego, jak pozwolić dziecku umrzeć w chacie.

Na szczęście dowiedziałem się o wypadku i poszedłem odwiedzić Wanjirę. Zastałem ją siedzącą na progu chaty i patrzącą bezmyślnie na chmury. Najwidoczniej chciała uprosić u słońca trochę ciepła, bo w chacie ognisko zgasło.

Pozdrawiam ją.

— Cóż nowego Wanjiro?

— *Gotirè* (Nic nowego).

I udając, że nie wiem nic o całej sprawie, zadawałem jej różne pytania, na które odpowiadała z rzadka, słowami suchymi, jak ktoś, kto chce jak najprędzej pozbyć się niemiłego gościa.

Tym czasem słońce zaszło za chmury, zrobiło się nagle ciemno. Z daleka odezwał się głuchy pomruk grzmotu. Powietrze stawało się nieruchome, ciężkie. Zbliżała się gwałtowna burza.

Z czarnych chmur spadły na ziemię pierwsze

wielkie krople deszczu. Trzeba było coś postanowić.

— Wanjiro — rzekłem — zaczyna padać, a wiesz dobrze, że misja jest daleko. Pozwól mi schronić się do twojej chaty.

Za całą odpowiedź stara burknęła coś po swojemu i usadowiła się lepiej w środku wejścia do chaty, aby uniemożliwić mi przejście.

Straszliwy grzmot rozdarł ciszę i po chwili dało się słyszeć z wnętrza chaty jakby przyciszonym echem kwilenie dziecka. Nie miałem wątpliwości. Nie mogłem teraz odejść stąd za żadną cenę. Próbowałem zmiękczyć serce Wanjiry łagodnymi słowami, ale wszystko na próżno. Stara odpowiadała mi coraz bardziej nieprzyjaznym mruczeniem.

O, cierpliwość jest to owa cnota, do której misjonarz musi być przywiązany więcej, niż do jakiejkolwiek innej. Czekam więc cierpliwie. Żeby zapełnić czymś to wrogie milczenie, wyciągam tabakierkę z kieszeni i biorę szczyptę tabaki.

Wanjira z chciwością wpatrzyła się w tabakierkę; czytam w jej oczach, że chętnie zażyłaby z niej; podaję jej więc tabakę z uprzejmym zaproszeniem.

Znowu pomruk, ale tym razem przyjacielski, i Wanjira zanurza drżące palce w tabakierce, jak gdyby chciała z niej wyłowić całe swe szczęście.

— Już tak dawno, jak nie piłam (tak się tu mówi o tabace) — mówi z zadowoleniem.

Tabaka musiała trafić do jej serca, gdyż stara usunęła się na bok, zapraszając mnie do wnętrza chaty.

Wszedłem. W kącie na garstce liści zobaczyłem coś ruszającego się. Oglądnąłem z bliska: było to dziecko, na którym mi tak zależało. Małe ciałko było tak rozpalone, jak gdyby cierpiało na silną gorączkę. Biedactwo miało tylko kilka godzin życia przed sobą, gdyż już trzy dni minęły od śmierci matki, a więc trzy dni nie było karmione.

Chrzest i to natychmiastowy był konieczny. Ale jak usunąć babkę, która by się temu sprzeciwiła?

— Wanjiro — rzekłem — nie zażyłabyś jeszcze raz z tabakierki?

— O tak! Daj mi tylko!

Włożyłem rękę do kieszeni.

— O, została na dworze! Bądź tak dobra...

Wanjira nie dała sobie tego dwa razy powtórzyć. Zniknęła za drzwami, ukazując się za chwilę z tabakierką w ręce. Trwało to tylko moment, ale ten moment wystarczył, aby dojrzała jedna dusza dla nieba.

Byliśmy oboje zadowoleni: Wanjira miała tabakę, a dziecko otrzymało chrzest. W kilka godzin potem nowy aniołek leciał ku niebu.

Bohaterstwo trędowatego dziewczęcia

O. *Simonelli* ze Zgrom. Synów Najśw. Serca, Bahr-el-Ghazal.

Ndara było to dziewczę zarażone trądem. Nie mając jeszcze otwartych ran, tylko czerwone plamy rozsiane po całym ciele, mogła chodzić, gdzie chciała. Wykorzystała tę okazję, by przychodzić do misji. Na wyznaczony dzień sta-



wała do pracy i do oględzin lekarskich, tak jednak, że nikt nie przypuszczał, że odwiedza misję. Biada, gdyby się dowiedziano o tym, zostałaby ukarana i zakazanoby jej opuszczać dom.

Dla dziewczęcia przebywać dwa razy w tygodniu więcej niż 15 km nie jest czymś bardzo łatwym. Lecz Ndara nie zważała na trud, pragnąc bardzo otrzymać chrzest św. Jednego dnia czuła się gorzej niż zwykle i nie przyszła do misji. Nie widzieliśmy jej kilka tygodni. Wreszcie posłaliśmy katechistę, by ją odwiedził i jeśli by było potrzeba, aby jej udzielił chrztu św. Katechista wrócił, twierdząc, że choroba nie jest śmiertelna i dlatego zostawił ją jeszcze katechumenką.

Ile wycierpiała, nie wiadomo. Skądinąd dochodziły nas wieści, że Ndara jest bardzo ciężko chora i że prosi o chrzest. Katechista jednak obstawał przy swoim, a my, ufając mu, byliśmy spokojni o jej życie.

Aż jednego dnia zjawia się w misji jakaś dziewczyna, chwiejąca się na nogach, strasznie zmizerowana. Była to Ndara, ale tak zmieniona, że nie mogliśmy jej poznać. Wyznała nam, że nikt nie chciał jej dać wody, która obmywa duszę, by mogła pójść do nieba. Jeden tylko Pan Bóg życzył jej dobrze i nie chciał dopuścić, by poszła do piekła.

Rzeczywiście, była to widoczna pomoc Boża, że Ndara mogła zajść jeszcze do misji. Nogi miała tak zniszczone przez trąd, że nie mogła prawie chodzić. Długi kij podtrzymywał ją, aby nie upadła.

Jej wielka wiara wzruszyła mnie do łez. Zganiłem katechistę i sam przygotowałem ją do chrztu św., którego tak gorąco pragnęła. Po chrzcie św. przyjęła swą pierwszą i ostatnią komunię św.

A w dwa dni później z tego rozpadającego się ciała uleciała czysta i piękna dusza do nieba.

Bł. Kizito

(Ciąg dalszy.)

Z radością przyjmują więzienie.

Wkrótce otrzymali nakaz stawienia się przed królem w wielkiej chacie, zwanej „twekobe". Karol Lwanga zgromadził wszystkich swoich paziów z taką samą gorliwością, z jaką spełniłby jakikolwiek inny rozkaz. Kiedy już wszyscy byli zebrani, rzekł stanowczym głosem :

— Wchodźmy!

Król przyjął ich zjadliwym, szyderskim wzrokiem, a jego otoczenie głośnym wrzaskiem. Po chwili odezwał się król gniewnym głosem :

— Ci, którzy się nie modlą u misjonarzy, niech zostaną przy mnie, ci, którzy się modlą, niech odejdą na bok.

Na te słowa Karol Lwanga, trzymając według umowy za rękę młodego Kizitę, wystąpił i rzekł:

— Nie możemy się zaprzeć tego, o czym jesteśmy głęboko przekonani. — To powiedziawszy, przeszli obydwaj na wskazane miejsce, a za nimi poszli inni paziowie katolicy.

Mwanga zwrócił na nich wzrok pełen nienawiści i zawołał gniewnie:

— A zatem to prawda, że jesteście chrześcijanami ?

— Tak, panie, jesteśmy chrześcijanami.

— I chcecie zostać chrześcijanami ?

— Tak jest, na zawsze, do śmierci.

Wtedy król, zwracając się do kata Mukajangi, rzecze :

— Weź ich wszystkich i spal w Namugongo.

Kaci rzucili się natychmiast na skazanych, powiązali ich i wyprowadzili na zewnątrz. O. Lourdel, który właśnie na tę chwilę przybiegł do pałacu i był świadkiem tej sceny, tak ją nam opisuje: „Młodzieńców od 18 do 25 lat związano w jedną grupę, a dzieci w drugą. Skrępowano ich tak, że mogli iść tylko drobnym krokiem i to uderzając nieustannie jeden o drugiego. Widziałem na własne oczy, jak Kizito śmiał się z tych pociesznych ruchów. Jego oblicze było tak pogodne, jak gdyby szedł na zabawę z towarzyszami. Kizito był przybranym synem wysokiego dygnitarza państwowego. Kilku jego

krewnych przyjęło chrześcijaństwo i odznaczyło się męstwem i gorliwością. Kizito stał się godnym swoich starszych krewnych.“

Oprawcy zaprowadzili więźniów do wioski Namugongo, skąd pochodził naczelny kat Mukajanga. Tam rozmieścili ich po chatach tubylców, a sami przez cały tydzień gromadzili drzewo, potrzebne na stos dla skazanych.

Te osiem dni przepędzili dzielni wyznawcy na nieustannej modlitwie, wzbudzaniu pragnienia oglądania Boga i wzajemnym podtrzymywaniu w sobie zdecydowanej woli poniesienia śmierci dla Jezusa Chrystusa.

Kizito był przez cały ten czas nadzwyczajnie wesoły, tak że budził u wszystkich podziw, a równocześnie wpływał umacniająco na swoich współtowarzyszy niewoli. Wśród udręczeń, jakie przeżywał, nie zapomniał też o tych, którym zawdzięczał odrodzenie duchowe. Kiedy się dowiedział o przybyciu na misję Rubaga O. Livinhac, odezwał się do przyjaciół:

— Bardzo żałuję, że go nie widziałem. Pozdrówcie go ode mnie.

Podobnie serdeczne pozdrowienie przesłał O. Lourdelowi.

Jaki to piękny dowód delikatności dziecięcego serca, połączonej z bohaterską odwagą w cierpieniach!

Męczeństwo

W drodze na stos.

Działo się to rankiem dnia 3 czerwca.

Oprawcy zgromadzili się przed chatą Mukajangi. Wszyscy wyglądali potwornie: twarze pomalowane w czerwone i czarne pręgi za po-



Mali męczennicy w drodze na stos.

mocą gliny i sadzy; fryzury dziwacznie poskręcane, przetykane piórami ptaków i innymi ozdobami; przy tym krzyki, tańce i naigrawania z więźniów.

Przeciwnie męczennicy: z rękami związanymi z tyłu idą naprzód z radością, pozdrawiają się wzajemnie i zachęcają do wytrwałości w tej ostatniej walce.

Wąską ścieżką, biegnącą zygzakiem przez puszczę, skierował się pochód długim sznurem na miejsce kaźni. Po jakimś czasie stanął, ponieważ spotkał kata Senkole, który niósł w ręku długą trzcinę z zapalonym knotem. Tą trzciną uderzał on skazańców po głowie, „ażeby ich duchy po śmierci nie mąciły królowi spokoju."

Ale Senkole miał jeszcze inny przywilej, mia-

nowicie mógł sobie wybrać jednego skazańca i zamęczyć go własnoręcznie na osobności. Długo naradzał się z Mukajangą, zanim wybór jego padł na Karola Lwangę. Karol zrozumiał natychmiast, że będzie spalony zaraz na tym miejscu. Bez żadnego rozczulania się pożegnał się z towarzyszami:

— Ja zostaję tutaj, przyjaciele. Zobaczymy się w niebie.

Jakiż ból musiał przeszyć serce Kizity na widok rozłąki z najserdeczniejszym przyjacielem, a zarazem najpewniejszą podporą w ostatniej chwili!

Nieco dalej, w pobliżu dużego drzewa, zdarto z paziów resztki lichej odzieży i powieszono je na drzewie, zwanym z tego powodu *sezibugo* t. zn. ojciec szmat. Następnie pochód ruszył dalej i wkrótce wyznawcy znaleźli się na szczycie wzgórza, na którym był przygotowany stos. W czasie pochodu Kizito znalazł się przypadkowo w pobliżu pazia, imieniem Sebuta, równego mu niemal wiekiem. Zobaczywszy łzy w oczach przyjaciela, rzecze do niego żywo:

— Czemu ty płaczesz?

— Ja się śmierci nie boję — odpowiedział tamten — ale sznury ściskają mnie mocno i płaczę, bo mnie to bardzo boli.

— Zmów sobie „Ojcze nasz“ i cierp mężnie — odrzekł mu na to Kizito.

W ten sposób Kizito nie tylko że sam trzymał się dzielnie, ale jeszcze swoim przykładem i słowami umacniał przyjaciół.

Stanąwszy w obliczu stosu, nieustraszeni rycerze Chrystusowi, pełni błogiej nadziei, zawołali:

— Oto jesteśmy na miejscu, z którego pójdziemy oglądać Jezusa Chrystusa.

Jeżeli wszyscy gorąco tego pragnęli, to z pewnością najgoręcej Kizito.

Dokończenie nastąpi.

Oto tak, oto tak, sieją ludzie mak...

Jesteśmy w okolicy Kilimandżaro, wśród pracowitego szczepu Wadżagga. Wadżaggowie także sieją, lecz nie mak. Sieją, a raczej sadzą kukurydzę i bób. A robią to tak:

W sierpniu wychodzą na pole z ostrymi nożami. Zręcznie wycinają co większe gałązki i zarośla, które zdążyły się tu już rozkrzewić.

Potem zapraszają do pracy słońce, które im nigdy tej sąsiedzkiej przysługi nie odmawia. Słońce żarem swych promieni wysusza i wypala skrzętnie to, co zostawiły noże. Wystarczy więc zebrać suche badyle i podpalić. Rola jest oczyszczona.

Następuje teraz najtrudniejsza praca: skopanie twardej jak kamień ziemi. Pługów nie mają, muszą ją skopać własnymi rękami.

Potem czekają cierpliwie na deszcz, bo przecież na ziemi suchej jak pieprz nic się nie przyjmie i nic nie urośnie. Czekają nie na próżno: któregoś dnia niebo pokrywa się chmurami i zrasza obficie spieczoną ziemię.

Gdy ziemia dobrze nasiąkła wodą, wszystko co żyje wyrusza na pole, by sadzić kukurydzę i bób. Chodzi o ich całe i prawie jedyne pożywienie. To też pracują bardzo pilnie.

* * *

Oto tak, oto tak, jedzą ludzie mak.

Znów nie mak, lecz... banany. Po południu kobiety i dziewczęta przygotowują posiłek. W mig ustawiają polową kuchnię, złożoną z trzech kamieni, i rozpalają ognisko. Do ognia wrzucają kilka zielonych bananów. Gdy zielona skórka stanie się czarna jak węgiel, wyjmują je z ognia, zeskrobują łupinę i zaspokajają pierwszy głód.

Główny posiłek czyli obiad, przygotowują wieczorem. Składa się on ze słodkich ziemniaków i papki kukurydzianej albo z zupy z bananów lub z bobu. Cała rodzina siedzi wokoło ogniska. Matka bierze miskę, która mieści w sobie około pół litra — zwykła miarka, by najeść się do sytości — i nabiera w nią przygotowany posiłek. Każdy członek rodziny ma zwykle swoją własną miskę.



Dziewczęta ze szczepu Wadżagga przy zabawie „dżagga“.

— Myślicie, że każdy posila się ze swojej? O nie, Wadżaggowie mają inny zwyczaj. Jedzą więc tak: gdy wszystkie miski są napełnione, biorą się do jednej. Pierwszy z koła łyka z niej dwa razy i podaje ją dalej. I tak wędruje w koło od ust do ust. W ten sposób wypróżniają jedną miskę po drugiej. Wszystko to odbywa się w uroczystej ciszy z tej prostej przyczyny, że każdy ma usta tak pełne, że nie może ich otworzyć, by wymówić choćby jedno słowo.

Za to po skończonym obiedzie rozpoczyna się wesoła i ożywiona rozmowa.

Sadzenie kukurydzy i bobu powtarza się dwa razy w roku: w sierpniu i w styczniu.

Trójznacznik

Albo do gry się używa — lub w nodze ją masz,
Albo też tak się nazywa — święty Patron nasz.

ROZWIĄZANIE z Nr. 10:
Kocham Murzynka.

ODPUST ZUPEŁNY,

którego pod zwykłymi warunkami dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicji św. Piotra Klawera, a więc i członkowie „Ligi dzieci dla Afryki":
30 listopada, w dzień św. Andrzeja, apostoła.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej — w Przemyślu dnia 20 października 1938. L. 5127/38.

Redaktor odpowiedzialny Maria Kopińska, Kraków.
Nakładem i drukiem Sodalicji św. Piotra Klawera w Krośnie.



Św. Stanisławie Kostko,

Patronie młodzieży polskiej, uproś jej anielską czystość duszy, gorące pragnienie przyjmowania częstej komunii świętej, i zapał dla spraw misyjnych.

„Dzielne trójki"

— Baczność, chłopcy i dziewczęta! Widzę, że chcielibyście coś uczynić dla Murzynków.

— Chcemy, ale nie wiemy jak.

— Pokochaliście „Murzynka", staliście się jego przyjaciółmi. Każdy z was pragnąłby pomóc tym biednym, czarnym braciszkom i siostrzyczkom z Afryki. A ponieważ dwóch zrobi więcej, aniżeli jeden...

— A trzech więcej niż dwóch...

— Brawo! A trzech więcej niż dwóch, więc utworzymy spośród nas „dzielne trójki". Chłopcy dobiorą sobie dwóch najlepszych kolegów, dziewczęta dwie najbliższe przyjaciółki i „trójka" gotowa. Ten, kto utworzył taką „trójkę", staje się „aniołem stróżem swej „trójki".

— Oto pierwsza praca dla „trójek":

„Anioł stróż" postara się, aby każdy z jego trójki prenumerował „Murzynka". Bez „Murzynka" nie można być przyjacielem Murzynków. Potem króciutko opisze: Jak zdobyłem moją trójkę? i list



Trójka wiernych przyjaciół misji z Jugosławii.

swój wraz z nazwiskami tych, którzy do *trójki* należą, prześle do *Murzynka* do Krosna pod adresem:

Sodalicja św.
Piotra Klawera
KROSNO w. lw.

— Trójka, która tę pierwszą pracę wykonała, staje się

„dzielną trójką"

i nazwiska tych dzieci zostaną wydrukowane w „Murzynku".

— Naprawdę?

— Naprawdę, w numerze lutowym. Dlatego trzeba napisać do „Murzynka" jak najwcześniej, przed grudniem jeszcze. Żeby powiększyć waszą radość dodam, że trzy najlepsze opisy: Jak zdobyłem moją „trójkę" zostaną wydrukowane w „Murzynku" i otrzymają w nagrodę śliczną książeczkę p. t.

PIOTRUŚ.

— Widzicie, że ta pierwsza praca wcale nie jest trudna. A więc do widzenia, do następnego numeru. Spotkamy się znowu w *„kąciku dzielnych trójek"*.

UWAGA: Jeżeli „anioł stróż" nie mógłby zebrać od swej trójki pieniędzy na całoroczną prenumeratę „Murzynka", to może zapłacić połowę teraz, a połowę w maju. To znaczy: zbierze teraz od każdego po 60 gr. i sam da 60 gr., a więc razem prześle do Krosna 1.80, i w maju znowu 1.80. „Murzynek" będzie przychodził pod jego adresem w trzech egzemplarzach i on każdego miesiąca będzie rozdawał pisemko swej „trójce".